

DANIEL TONY

# *Mystery Box*

(Mystery Box)

Z "NF" 2

Carni curle

**Mężczyzna w długim płaszczu szedł kościanymi ulicami. Księżyc oświetlał fasady białych jak kość budynków i powierzchnię białych jak kość ulic. Cień idącego mężczyzny był ciemny i połyskliwy - dużo bardziej nęcący niż sam mężczyzna. Ten nie wyróżniał się niczym, poza oczami, które były zielone jak morska toń i wydawały się rozświetlone od wewnątrz. Przez chwilę mężczyzna czuł się obserwowany i nie podobało mu się to. Spojrzał na księżyc. Mieszkało tam więcej ludzi niż w Nowym Jorku. Więcej niż na Ziemi. Blask księżycy był jak ich mroczna, podświadoma jaźń, zwrócona ku Ziemi. Zwrócona ku niemu.**

**Ale to tylko moja wyobraźnia, pomyślał C. Mało kto w kosmosie w ogóle interesuje się Ziemią, szczególnie w nocy. Pod pachą C niósł paczkę owiniętą brązowym papierem i obwiązaną sznurkiem. Na paczce nie było adresu, ale nie miało to znaczenia, bowiem C nie dostarczał jej nigdzie. Były to tylko pozory dostawy. Znalazł skrzyżowanie, którego szukał, róg Church i Canal w starej części Tribeca, i ruszył na południe w dół Church. Tutaj nacisk zmutowanego ziarna zamienił w kość tylko kamienną fasadę budynków, a nie metalową konstrukcję. Coś jednak zaatakowało konstrukcję, bowiem drabinki ewakuacyjne i żelazne ozdoby miały błękitny połysk i były bardzo kruche. Miejscami drabinki popękały wzdłuż równych linii, czego zwykła rdza nigdy by nie spowodowała. Bardziej przypominało to spękany lód.**

**Ale powietrze nie było zimne tej nocy. Było ciepło jak na październik i C cieszył się, że miał na sobie płaszcz bez podpinki, nawet jeśli ten trzepotał odrobinę za bardzo na wietrze. Zastanawiał się, gdzie zostawił podpinę, ale nie mógł sobie przypomnieć. Pewnie gdzieś w kosmosie albo na Merkurym. Podobnie było z wieloma innymi rzeczami. C znalazł interesujący go adres, "Percepied Export". Przy drzwiach, odsunięta na bok, stała złamana metalowa krata. Okna zasłaniały metalowe żaluzje, które wyglądały, jakby nigdy ich nie zwijano. Był ciekaw, co mógłby znaleźć w przestrzeni pomiędzy żaluzjami i szybami okien. Zapewne coś zgubionego w zeszłym tysiącleciu. Przez chwilę wyobrażał sobie wetknięty tam trzystuletni szkielet młodej dziewczynki, ale szybko porzucił tę myśl.**

**Nie była to myśl niedorzeczna, w świetle tego, co wiedział o Nowym Jorku. Przez trzy stulecia dzieci stanowiły tu fetysz. Martwe dzieci. Żywe, uwięzione dzieci. Nad łózkami starych kobiet można było znaleźć portrety Małego Kościanego Chłopca, z którego wielkich oczu, z jakiegoś powodu nadal**

żywo brązowych, ciekły grube, kredowe łyzy. Większość domów miała swoje dzieci opiekunów, zabranych z zamienionych w kość części miasta; pełnili rolę wiecznych stróżów chroniących przed przemianą w kość, nadciągającą ponownie po młodych. I powstały też mroczniejsze, seksualne perwersje. C wiedział o nich wszystko. Był na miejscu, kiedy to się zaczęło.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Znalazł się w obszernym kwadratowym pomieszczeniu, wysokim na siedem metrów i długim na trzydzieści. Pod ścianami piętrzyły się pakunki całkiem podobne do tego, który C trzymał pod pachą. Pośrodku pomieszczenia stało kilka biurków. Trzech mężczyzn i dwie kobiety siedziało na podniszczonych krzesłach. Czterem z pięciu krzeseł brakowało oparcia, ale ponieważ wszyscy obecni pochylali się nad biurkami, przeglądając bazy danych, oparcia nie były potrzebne. Mężczyźni i kobiety przesuwali palcami po blatach biurków, dotykając powierzchni to tu, to tam, to tu, to tam, jakby wróżyli albo przesuwali niewidzialne żetony do gry. C podszedł bliżej. Po chwili kobieta przy największym biurku podniosła wzrok.

- Mam coś dla pana Percepieda - powiedział C.

Kobieta dotknęła miejsca na blacie, prawdopodobnie unieruchamiając niewidoczny przepływ danych. Mógł wysłać swoją membranę, by sprawdziła, na co patrzy, ale byłaby to dla niego bezużyteczna wiedza. Po co powiększać entropię? Rób tylko to, co konieczne.

- To jest dział wysyłek - poinformowała kobieta. - Pan szuka przyjęć.

- Nie - zaprzeczył C. - Nie sądzę.

- Pan Percepied właściwie nie przychodzi do magazynu - nie ustępowała kobieta. - Ja zarządzam wszystkim.

- Powiedziano mi, że pan Percepied przychodzi we wtorki, żeby robić zakupy do swojej osobistej kolekcji.

- Aha! - Kobieta wydawała się zaskoczona, lecz szybko się opanowała. - Rozumiem. Oczekiwaliśmy pana. Nazywam się Hecate Minim. Pan musi być...

- Cornell.

Wstała i przeciągnęła się. Była wysoka i kiedyś musiała być bardzo piękna. Teraz jej skóra miała czerwony odcień powstały po operacji odmładzającej, a oczy wyglądały staro - nie zmarszczki wokół nich, których nie było, lecz same oczy. Miały ten sam zaskakujący zielony kolor, co jego własne.

Tyle tylko, że ja jestem jeszcze starszy niż moje oczy.

Z powodu, którego sam nie potrafił określić, skojarzył kobietę z kolorem brązowym. Jak ćmę. I pomyślał o swoim starym

przyjacielu, Jacku Cureoaku, ćmie błakającej się po nocy Układu Słonecznego. W końcu kobieta stojąca przed nim była jego córką.

- Pan Percepied powiedział, że cokolwiek ma pan w tej paczce, może pan przekazać ją mnie. - Hecate Minim wyciągnęła rękę. C uśmiechnął się smutno.

- Wolałbym raczej oddać ją do rąk własnych.

- To może okazać się niemożliwe.

- To prawda. - C skinął głową.

- Czy ma pan ją ze sobą?

- Czy nie powinniśmy przejść gdzie indziej? - C wskazał czworo pozostałych urzędników przy biurkach.

- Nie usłyszą nas. Pilnuję dzisiaj interesu i zamknęłam ich w wirtualu, gdy tylko pan wszedł.

- Mogłoby panią zaskoczyć, co potrafi się człowiekowi przyśnić.

- W porządku. Skorzystam tylko z łazienki i wezmę swój płaszcz. - Kobieta ruszyła w stronę szafy stojącej z tyłu.

C dotknął jednego z mężczyzn pochylonych nad biurkiem. Ten

nie poruszył się ani nawet nie drgnął. Przesuwał dłonie niczym insekty po politurowanym blacie.

Po chwili Hecate Minim wróciła ubrana w wypłowiały płaszcz z czerwonej wełny. Wyszli na zewnątrz. Kobieta oparła się o pękniętą żelazną kratę przy drzwiach, wyciągnęła papierosa i potrzasała nim, aż się zapalił, po czym dwa razy szybko się zaciągnęła. C, jak zawsze, zauważył markę papierosów.

Mandala 90s. Wdychała mieszanek marihuany i oszalałej wschodniej logiki z plantacji na radialu Gai, niedaleko Wenus. Kiedy jednak wypuściła dym, pachniał gorącym piaskiem. To pewnie jakieś nowe dodatki, pomyślał C. Coś bardzo mocnego, żeby uzyskać taki zapach.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy napić się kawy? - zapytał C.

- Kawy? Czy nie ma pan na myśli whisky?

- Wolałbym napić się kawy. - Na Ziemi picie kawy miało czasem zabawne konotacje, ale C nie widział powodu, by wyjaśniać jej, że nie pije alkoholu. Widział, co alkohol zrobił z Jackiem Cureoakiem. To wystarczyło, by rzucił picie na trzy stulecia.

- Jest jedno miejsce na Walker. Ale oni mają dzieci.

- Po prostu lubię kawę. To wszystko.

Minęli trzy przecznice, nie odzywając się w ogóle, po czym skręcili w ciemną uliczkę. Po chwili stanęli przed czarnymi drzwiami, na których znajdowały się czarne metalowe litery. C

nie zdołałby nic odczytać, gdyby nie blask księżyca. Napis głosił: NOCNE PRZEDSZKOLE.

Wnętrze oświetlały punktowe biolampki, które migotały jak gwiazdy. Za kontuarem znajdował się pojemnik wypełniony konserwantem. W środku pływały nagie martwe dzieci, jedne obrócone prawym bokiem do patrzącego, inne unosiły się do góry nogami, a włosy falujące w galaretowatym płynie przypominały promienie słońca. Pojemnik był długi, lecz wąski, i ciała ledwie się w nim mieściły. Wszystko oświetlała błękitno-zielona lampa.

Gdzieś z głębi, spoza grubych czarnych zasłon, dobiegały jęki żywych dzieci. Choć w gruncie rzeczy powinni to być dorośli, tak zmodyfikowani, by wyglądali jak dzieci. Ciekawe, czy to miejsce nadaża za wymogami czasu, pomyślał C. Ziarno mogło jednak przekształcać ciało z poziomu DNA, tak że trudno było powiedzieć, co naprawdę się tam znajduje. Klienci mogli sobie wyobrazić, że macają autentyczne dzieci. Przy dwudziestu liściach za każdy ukradziony dotyk dzieciaki robiły wszystko, żeby podtrzymać to złudzenie.

C pamiętał, jak dwieście lat wcześniej kawę po raz pierwszy zaczęto kojarzyć z pedofilią. Teraz była to jedna ze słynnych zakazanych atrakcji starego Nowego Jorku.

Zamówili dwie małe. Hecate Minim piła czarną i słodką. C, oczywiście, pił normalną, tak jak normalnie robił wszystko inne. Niezostawianie śladów było sposobem na przeżycie.

Usiedli przy stoliku niedaleko wejścia, gdzie jęki dzieci nie były tak donośne.

- Czy rozważyłeś możliwość, że to ja mogę być panem Percepiedem? - zapytała Hecate Minim.

- Oczywiście, że tak. Ale pewne fluktuacje kwantowe, na które jestem wyczulony, mówią mi, że jest inaczej. - Rzecz jasna, była to nieprawda, przynajmniej z tego, co wiedział, ale Hecate Minim raczej się tego nie domyślała. Pod wieloma względami Ziemianie byli najbardziej prowincjonalnymi mieszkańcami Układu Słonecznego.

- Rozumiem. - Upiła łyk kawy i ślad brązowej szminki pozostał na brzegu filiżanki.

Ziarno w szmince szybko zorientowało się, że nie jest już częścią większego algorytmu i zaczęło migrować z powrotem do półcienia ciała Hecate Minim. Ślad szminki zniknął. C wyobraził sobie wszystkie utracone fragmenty ludzkości, ciągnące za każdym ludzkim ciałem, nieustannie próbujące połączyć się ponownie. Ale ciało wciąż się porusza. Aż do

momentu, gdy przestaje. Kiedy umieramy, to, co z nas zostało, wreszcie nas dogania, pomyślał C.

Wypił łyk kawy. Była letnia, zmieszana ze zbyt dużą ilością mleka, a filiżanki nie samonagrzewały się. Odstawił naczynie.

- Mam trochę wspomnień dla pana Percepieda. - Postawił paczkę na podłodze obok krzesła.

- Tutaj? - Hecate Minim popatrzyła ze zdziwieniem. - Tak po prostu nosisz je ze sobą?

- To wszystko, co można zrobić ze wspomnieniami, nieprawdaż? Ale nie ma ich w paczce. W paczce jest coś innego.

Wyprostowała się i opanowała. Włosy miała czarne, lecz brwi jasnobrązowe. Jej skóra była biała, opalona - ale to tylko ziarno. C wątpił, by Hecate Minim zbyt często wychodziła na słońce.

- On będzie chciał wiedzieć, co masz.

- Coś wyjątkowego. Coś z dwudziestego ósmego stulecia.

Rękopis. Jedyny egzemplarz niepublikowanego poematu. Z odbitkami pamięciowymi.

- Co to jest?

- Strona z brudnopisu poety. To naprawdę coś zdumiewającego. Facet miał fantastyczny zmysł obserwacji, aż po poziom kwantowy. To mogą być najstarsze odbitki pamięciowe, jakie kiedykolwiek odnaleziono.

- Oglądałeś wszystko?

- Tylko skrót.

- Kto to jest?

- Powinnaś raczej zapytać, co to jest.

- Cóż... - Hecate Minim westchnęła. - Co?

- Morderstwo. Wspomnienie zabijania kobiety za pomocą noża.

- Zabójstwo nożem. To nie takie niezwykle. Na Canal Street można kupować takie rzeczy na pęczki.

- Nie. To jest coś innego.

- Jak to? Kto jest autorem?

- Jack Cureoak.

Hecate wyprostowała się, bezwiednie oblizując wargi. Była bardzo dobra; niczym się nie zdradziła.

- No, no... - Zagrała na nucie podziwu dla C.- Naprawdę?

Cureoak? Facet, który pisał poematy o kosmosie?

- "Samotny wędrowiec" to jego najsłynniejsze dzieło.

- Z pewnością jesteśmy zainteresowani, ale...

- Jest jeszcze coś.

- To, co masz, już jest całkiem niezłe.

- Nie ma potwierdzenia.

- Co to znaczy?
  - To znaczy, że powszechnie wiadomo, iż Cureoak nigdy nikogo nie zabił. Był pacyfistą. Wcielono go do floty, ale wyleciał po niepokojach w pasie asteroidów. Nie potrafił nawet obronić się w trakcie bójki. Lecz istnieje zapis dotyczący mężczyzny nazwiskiem Clare Runic. Clare Runic zadźgał nożem kobietę nazwiskiem Mamery St. Cloud w roku 2744.
  - Nie rozumiem...
  - Clare Runic był najlepszym przyjacielem Cureoaka w owym czasie.
  - Nie rozumiem.
  - To Cureoak zabił. Clare Runic wziął całe odium na siebie.
  - To było trzysta lat temu. Kogo to obchodzi?
  - Pana Percepieda będzie obchodziło.
  - Dlaczego pan tak sądzi?
  - Ponieważ wiem, kim jest pan Percepied.
  - Z pewnością nie wiem, o czym pan mówi.
  - To nie ma znaczenia. - C dopił resztkę kawy, nie przejmując się, że jest prawie zimna. - Proszę mu powiedzieć, że mam rękopis i jedyną kopię odbitek. Proszę mu powiedzieć, że jest tylko jedna zapłata, jaką w zamian przyjmę.
  - Ile pan chce? "Percepied Export" zarabia trochę, sprzedając pamiątki z Ziemi, ale zapewniam pana, że pan Percepied nie jest człowiekiem bogatym w żadnym znaczeniu tego słowa.
  - Proszę się tym nie przejmować. Nawet gdyby był bogaty, nie miałby dość pieniędzy. Nigdy nie mógłby mieć dość - dodał C. - Jest tylko jedna rzecz, jaką pragnę otrzymać od pana Percepieda. Proszę mu powiedzieć, że chcę dostać Cassady-13.
  - Teraz mówi pan głupstwa.
- Po raz pierwszy od wielu tygodni C zaśmiał się na głos.
- Tak. Właśnie. Ma pani rację.
  - Muszę wracać do pracy. - Hecate Minim próbowała udawać oburzoną, ale sprawiała wrażenie zdenerwowanej. - Jak możemy się z panem skontaktować?
  - Mam znacznik w hotelu "Egypcie" na Pięćdziesiątej Dziewiątej.
  - To kościana dzielnica.
  - Zaiste. Jestem zarejestrowany pod nazwiskiem Cornell. Joseph Cornell.
  - Wymawia pan swoje nazwisko, jakby nie było pańskie.
  - To naprawdę może być moje nazwisko, moja droga. - C ponownie się zaśmiał. - W każdym razie takie wystarczy.
  - W porządku. Powiem panu Percepiedowi. Ale być może to ze mną będzie pan musiał przeprowadzić transakcję.

- To kwestia zupełnie obojętna. Jedyne, czego chcę, to Cassidy-13.

Hecate Minim chwyciła swój płaszcz i wyszła. Po chwili C wyciągnął rękę i dotknął brzegu filizanki, z której właśnie piła. Zamknął oczy i poczuł resztki ziarna rozpaczliwie szukającego swojej pani. Ale ona zniknęła. C przyłożył ziarno programu do ust.

Hecate w swoim budynku. Mieszkańcy Nowego Jorku mogli w tych czasach mieć dla siebie całe budynki. Niektórzy mieli całe kwartały.

Gdzieś w Chelsea. Ze swojego okna Hecate mogła widzieć brzeg Jersey po drugiej stronie Hudson. Jersey ponownie oddane we władzę bagien i komarów. Gdzieś tam w mule pochowano wieżowiec Chryslera, gdy oszalał i trzeba było zestrzelić go za pomocą rakiety.

Hecate odstawiająca torbę z zakupami. Szelest w głębi jej zapleśniałego dużego pokoju.

Słabe światło na bladej twarzy. Dym papierosowy unoszący się pośród pyłków rozświetlonego powietrza.

- Kupiłeś jajka?

- Nie, tato, zapomniałam...

Obraz rozwiązał się i było coś jeszcze w resztkę ziarna, coś znajomego, wspomnienie wspomnienia...

Ale potem również to uczucie rozwiązało się i to było wszystko, co C zdołał odczytać z ziarna. Wystarczająco dużo. Podszedł do kontuaru i wziął dolewkę. W głębi krzyknęło dziecko.

- No już, no już - powiedział sztucznie wesoły męski głos. - No już, no już.

C splukał kawą resztki Hecate Minim.

**Ruran lecie**

C przez następne półtora dnia włóczył się bez celu po mieście. Nie mógł spać. W gruncie rzeczy nie spał od stuleci. Zdolność snu była czymś, co utracił, gdy przechodził przez kolejne duplikacje samego siebie. W końcu podwyższona, ostra jak brzytwa wrażliwość bezsenności stała się jego stanem naturalnym. Teraz nie pamiętał nawet uczucia, jakie towarzyszyło rozluźnianiu się aż po moment nieświadomości. Prawdziwe kostnienie miasta zaczęło się na górnym Manhattanie i na północ od tego miejsca miasto było zupełnie białe. Epicentrum znajdowało się na Broadwayu i Sto Szesnastej, przy starej siedzibie Uniwersytetu Columbia, lecz kostna przemiana zawędrowała daleko w głąb Queens, zabrała cały Bronx. A Brooklyn? Brooklyn był miejscem



niebezpiecznym. Znalazł się tam tylko parę razy i nie miał ochoty wracać. Zmutowane ziarno szalało po ulicach i tylko ono znało Brooklyn.

Słońce paliło bezlitośnie w kościstych kanionach miasta. Ziarno czyszczące ulice nadal działało w większości dzielnic. Przybierało postać niewielkich chmur deszczowych przesuwających się zygzakami parę centymetrów nad powierzchnią ulicy. Z góry chmury te dokładnie przypominały miniaturową wersję frontu burzowego poruszającego się nad ziemskim kontynentem. Kiedy natrafiały na przeszkodę, zatrzymywały się, by sprawdzić, czy jest ona żywa. Jeśli przeszkoda była nieorganiczna albo martwa - i mała - program niszczył ją. Jeśli była duża i martwa, zamiatarki oczyszczały ją i zostawiały tam, gdzie była. Coś jednak popsuło się w algorytmie i teraz zamiatarki nie rozpoznawały mniej więcej jednej trzeciej ulic. Na tych ulicach kościany pył, przez lata osypujący się z fasad budynków, zbierał się w łachy albo przyjmując brązową barwę mieszał z innymi odpadami miasta. Niektóre z łach stwardniały pod wpływem dziesięcioleci deszczu, lecz przeważnie kość miała postać sypkiego miazgu. Wiatr podnosił duszące tumany wirujących cząsteczek, wysysając je z bocznych ulic i ukrytych zaułków. Jesienią praktycznie nie było dnia, żeby spacer ulicami Nowego Jorku na północ od Czterdziestej Drugiej Ulicy nie zakończył się oblepieniem ubrania przez kościany pył.

W którejś chwili na całkowicie przypadkowej ulicy, którą pominęły zamiatarki, C nachylił się i palcem zebrał próbkę kości z łachy. C (tak jak wszystkich w owym czasie) otaczała jego własna warstewka nanotechnologicznego "ziarna", rodzaj niewidzialnego pancerza informacji i obliczeń ucieleśnionych w mikromaszynach. Była ona nim w tym samym stopniu, co jego krew i ciało. Może nawet w większym, jako że często miał inne ciała - które hodował i odrzucał jak łupiny kukurydzy - lecz warstewka ziarna nadal zawierała to samo oprogramowanie. Może jego sekretna tożsamość była ukryta w ziarnie po wszystkich tych latach. Może tak naprawdę stał się tylko pozbawioną cielesności myślą.

Nie. Jestem człowiekiem.

Zaczął analizować próbkę kości.

Była dokładnie w tym samym stanie, w jakim zostawił ją trzysta lat wcześniej, i wciąż przechowywała to, co przechowywała, w swoich wapiennych szczelinach, w gąbczastych komorach.

**Tym, co przechowywała - co miała przechowywać z założenia - był kod Harmonii. Zaś do kodu dołączona i spleciona z nim była młodzieńcza kopia mężczyzny, który obecnie władał wewnętrznym Układem Słonecznym.**

**Wypuść mnie!**

**C jęknął, zatrzymał się i chwycił słupa latarni, żeby złapać oddech. Po wszystkich tych latach duch Amesa był nadal tak potężny! Mężczyzna uwięziony w zmagazynowanym kodzie chciał być wolny. Nie, więcej. Chciał rządzić. Panować.**

**Nad wszystkim.**

**Wypuść mnie, a wszystko stanie się dla ciebie łatwe!**

**- Nie martw się - rzekł C, chociaż zmagazynowany kod nie mógł go słyszeć. - Nie dałeś mi żadnego wyboru.**

**Wypuść mnie! Pozwól mi powstrzymać chaos! Potrzebujesz mnie. Każdy potrzebuje, żebym powiedział mu, co ma robić.**

**Wypuść mnie, zanim będzie za późno!**

**Drżąc, C upuścił fragment kości.**

**Próbowałem go powstrzymać, pomyślał, ale tylko pogorszyłem sytuację.**

**Analiza dała mu jednak to, czego chciał. Schemat otwierania kościanego zamka stanął mu przed oczami, gorejąc purpurą. Zmagazynował go. Samo zrozumienie działania zamka nie było trudne. Teraz musiał zdobyć klucz; szkieletowy klucz, który ukrył tak dawno temu, po tym jak przekręcił go w zamku.**

**Ul rani cerc**

**Uniwersytet Columbia, rok 2744. Laboratorium imienia Wilsona, sala imienia Dodge'a. Columbia, niegdyś wielka uczelnia narodowa, stała się akademią dla szpiegów. Wywiad Sieci nabył ją, kiedy zbankrutowała po pierwszej migracji z Ziemi. Teraz prowadzono tu dla niepoznaki college. Większość sal, w których niegdyś zasiadali studenci, stała się cieniem samych siebie, wylęgarnią kodów i szyfrów. Lecz Clare Runic był z tego zadowolony. Z radością zamienił studia magisterskie na wydziale filozofii na pracę doktoranta od kryptologii. Jego najlepsi przyjaciele z czasów studiów nadal mieszkali w sąsiedztwie. Jack Cureoak nigdy oczywiście nie zamierzał pracować dla wywiadu, lecz inercja zatrzymała go w tym samym mieszkaniu, które on i Clare zajmowali jako studenci. Chciał zająć się pisaniem, lecz to działo się, zanim odkrył swoje prawdziwe powołanie: nieustanne podróże po Układzie Słonecznym. Czekał na bodziec, który pchnie go w drogę. Mieszkała z nimi również Mamery St. Cloud - przyjaciółka Cureoaka i kochanka Clare'a. Pracowała w Columbii nad**

projektem o dziwnej nazwie "Harmonia". Jej szefem i zarazem szefem całego zespołu był człowiek imieniem Ames. Wszyscy mówili, że jest mistrzem zarządzania. Sprawy szły gładko, kiedy Ames stał na czele. Wszyscy mówili również, że kiedy ktoś mu się sprzeciwił albo podpadł, Ames stawał się kawałem sukinsyna.

Mamery St.Cloud sprzeciwiła się Amesowi i podpadła mu. Uważała, że nanotechnologii nie należy wykorzystywać do celów wojskowych. Zdobyła pełną kopię kodu, nad którym pracował zespół, i odwróciła łańcuch łagodzący. Laboratorium Wilsona w pełni ekranowano. Jedyнным sposobem przeszumuglowania antywirusa na zewnątrz było uczynienie go częścią własnego genomu.

Sądziła, że uszło jej to na sucho.

- Może nie jestem tak sprytna jak Jack i tak bystra jak ty, Clare, ale znam różnicę między dobrem i złem - powiedziała mu któreś nocy.

Kochali się niewiele wcześniej i teraz oboje palili papierosy. Jej ulubionym gatunkiem były wtedy Petra Ultralites, jego Mandala 75s.

- Coś jest nie tak z tym kodem - stwierdziła.

- Moralności nie da się zapisać w postaci algorytmu - zaproponował Clare. - Kod to tylko kod.

Usiadła na nim i tak została, wciąż paląc papierosa. Była tak szczupła i lekka, że ledwie czuł jej ciężar.

- Cóż, być może w twoim przypadku. - Uśmiechnęła się drwiąco.

Sięgnęła za siebie, by go chwycić. Clare poczuł, jak twardnieje w jej dłoni. Życie było wtedy tak łatwe, kiedy nie musiał jeszcze myśleć o wszystkim naraz.

- Ale jakiś kod jest nie w porządku - wróciła do początku rozmowy.

Nachylił się i polizał jej sutek.

- Twój kod jest dobry - rzekł. - Rok dwudziesty, jeśli się nie mylę. To doskonały rocznik.

Zgasili papierosy w popielniczce i kochali się ponownie w duszną noc.

W laboratorium znajdowały się ukryte czujniki. Ściany miały oczy. Ames dowiedział się, że Mamery ukradła antywirusa o nazwie "Harmonia".

Udało jej się wrócić z antywirusem do mieszkania. Zeskrobała pasemko swojej skóry i umieściła je w sekwencerze (ludzie mieli wtedy sekwencery genetyczne, które stały na stole i były wielkie jak pięść).

W momencie gdy sekwencer kończył swoją robotę i ładował materiał do pamięci domowego komputera, "Paranoja 4.1a", program militarny wysłany przez Amesa na poszukiwanie Mamery znalazł ją. W tej samej chwili, w której kopia wirusa wpływała do wirtualnej pamięci Clare'a, "Paranoja" opanowała mózg dziewczyny i Mamery St. Cloud tak naprawdę nie stała się już nigdy sobą.

"Paranoja" była bardzo subtelnym ziarnem zabezpieczającym, wykorzystywanym do walki z rebeliantami. Minęły tygodnie, zanim Clare i Cureoak zdali sobie sprawę, że z Mamery coś jest nie tak.

Dwa dni zajęło Clare'owi znalezienie antywirusa, którego załadowała do jego komputera. Ale znalazł go i niemal natychmiast uświadomił sobie, co ma w rękach.

Tylko że nie do końca zdawał sobie sprawę z jego siły. Jakże wspaniałą robotę wykonała jego kochanka. Wykorzystała część swojego DNA odpowiedzialnego za budowę kości do stworzenia kodu zamykającego "Harmonię".

I kiedy Ames któregoś ranka o świcie wpuścił "Harmonię" do miejskiego programu Nowego Jorku, Clare był gotów z antidotum. W ciągu kilku godzin proces przemiany kostnej Mamery połączył się z kodem "Harmonii". W tym czasie większość dorosłych zdążyła uciec z zakażonych obszarów. Nie było jednak czasu na ogólną ewakuację. Któryś z urzędników zapomniał powiadomić innego urzędnika z władz szkolnych. Przypadek i upór. Szkoły powiadomiono, gdy było już za późno.

Wszystko wytłumaczono jako wielką pomyłkę, którą w końcu naprawi nauka. Nawet wtedy politycy bali się zadzierać ze szpiegami z Columbii.

Nikogo nie złapano, myślał Clare, kiedy siedział w więzieniu na Ganimedzie i dochodził do wniosku, że zbrodnia, za którą go skazano, była być może jedyną, jakiej nigdy nie popełnił. Kiedy wysiłał umysł, próbując złamać szyfry czasu i ironie skutku i przyczyny w kwantowym wszechświecie.

Kiedy przyszedł mu do głowy pomysł pudełka.

Lirne curca

Raportuj!

Słowo rozbłysnęło w umyśle C niczym słońce. Chryste, jak głośno! Tym razem osunął się na kolana na ulicy. Złapał się za głowę i jęknął. Wszystkiemu był winien kwantowy komunikator, który Ames wszczepił do jego ziarna, zanim wyjechał z Merkurego. Ames dokładnie wiedział, kiedy C

uzyskał dostęp do kodu "Harmonii". To musiało być coś w rodzaju bodźca. A teraz ryczał niczym megafon w werbalnych ośrodkach umysłu C.

Przypominało to zachowanie Mamery, kiedy dostała dawkę "Paranoi" i zwariowała. Cały czas się czepiała. Nie można było jej zignorować i nie można było przed nią uciec. Jej kod zepsuł się.

I nie można było jej zabić, bez względu na to, jak bardzo się tego chciało, ponieważ kiedyś się ją kochało.

Ryczący głos Amesa sprawił, że C poczuł się stary i nie wart, jak wtedy, kiedy zdał sobie sprawę, że Mamery w końcu go zabije i że nie może temu w żaden sposób zapobiec.

- Nie mam klucza - jęknął C. - Czy mógłby pan odrobinę zmienić natężenie głosu? Głowa mi pęka.

Wstawaj i idź. Brzydę się tobą. To wszystko twoja wina. Zastanów się nad tym.

Wstał. Musiał wykonywać polecenia Amesa. Było to warunkiem przetrwania.

Boże, Ames zachowywał się jak Mamery, kiedy chorowała. Absolutnie pewna siebie. Absolutnie przekonana, że musisz postrzegać jej pogląd jako słuszny i jedyny możliwy, chociaż dla wszystkich było jasne, że to kompletne szaleństwo.

C zrobił to, czego chciał od niego Ames. Szedł dalej po pustych ulicach. Myślał o tym, o czym kazał mu myśleć Ames, lecz i tak by to robił. Było to nieuniknione, tutaj w kościanych wąwozach śródmieścia pod południowym słońcem.

Nowy Jork, pusta czaszka miasta. Wszystkie nasze mózgi eksplodowały w kosmos. Ja to zapoczątkowałem.

Zapoczątkowałem to, kiedy zmieniłem dzieci. Musiałem powstrzymać Amesa; musiałem powstrzymać kod "Harmonii" przed połączeniem wszystkich Wielkich Inteligencji,

Rozległych Układów Osobowości - pod przewodem Amesa.

Sądziłem, że muszę go powstrzymać bez względu na konsekwencje. Ale kto chciałby pozostać po kosztnej przemianie w takim skamieniałym mieście jak Nowy Jork? Tylko zepsuci i pozbawieni nadziei. Szlam, pleśń i pył.

Sprawia mi wielką przyjemność, że to właśnie ciebie wyznaczyłem do uruchomienia kodu "Harmonii". Głos Amesa był odrobinę mniej natarczywy. Mówił do C z Nowego Centrum Hierarchii, z wielkich przepastnych sal na Merkurym, ale jego głos brzmiał, jakby stał tuż obok niego. Zbyt blisko, by czuć się komfortowo. Dlatego nie wymażę z istnienia twojego brudnego życia, panie C, teraz kiedy już jestem twoim szefem. Odczuwam

wielką przyjemność, że cię posłałem, ponieważ dzięki twojej osobie rozwiązanie jest tak zrównoważone, tak piękne.

- Tak jest, sir. Nawiązałem kontakt z obiektem i zbliżam się do niego w celu, który ustaliliśmy.

Możesz mówić otwarcie, panie C. Transmisja kwantowa jest całkowicie bezpieczna.

Może jeszcze nie, pomyślał C. Zawodowy instynkt podpowiadał mu, że nie istnieje forma komunikacji, której nie dałoby się przechwycić w ten czy inny sposób.

- Cureoak nie uległ szantażowi. Dlatego jutro porwę jego córkę i wymienię ją na klucz Cassady-13.

Było to oczywiście kłamstwo. Ale ostateczny wynik stanie się prawdą w ciągu kilku godzin. Tego C był pewien. Czas pokaże. W jego głosie musiała brzmieć pewność siebie, bo Ames zachichotał. Śmiech zadźwięczał w umyśle C niczym odgłos dzwonu. Ponownie opadł na jedno kolano, a potem wyprostował się z trudem.

Jesteś bezlitosnym śmieciem, panie C. Muszę to przyznać. Ani krztyny honoru pośród szpiegów, co?

- Chyba że honor staje się niepotrzebny.

C dotknął swoich skroni. Były wilgotne i gorące. Słońce wisiało dokładnie nad nim i czuł, jakby było jednocześnie na zewnątrz i wewnątrz jego głowy. Jakby stał pośród surowego, bezlitosnego krajobrazu swojej własnej wyobraźni.

- Sprawia mi pan ból tą transmisją. Zabrał mi pan filtry pasma, pamięta pan?

Chciałem przypomnieć ci, co może się stać. Co będziesz czuł, jeśli zawiedziesz.

- Rozumiem.

Na pewno?

- Rozumiem, czym jestem.

Czym mianowicie?

- Środkiem prowadzącym do celu.

Mojego celu.

- Tak jest, sir.

Istnieje tu pewna symetria, pomyślał C. Musiał to przyznać Amesowi. Był on człowiekiem o niezaprzeczalnym geniuszu. Udało mu się zdobyć kontrolę nad wszystkimi wzajemnie powiązаныmi dyrektoriatami i zarządami Sieci wewnętrznego układu i teraz wykorzystywał swoją władzę. Ten wielki projekt pod wieloma względami był bardzo cenny. W ciągu ostatnich stu lat Sieć - wielka pajęczyna międzyplanetarnych kabli rozciągniętych pomiędzy wewnętrznymi planetami - uległa przeciążeniu i popadła w samozadowolenie. Układ zewnętrzny

nieustannie odbierał centrum władzę i przejmował jego interesy, niczym ławica piranii szarpiących kawałek po kawałku żywe ścierwo. Ames podłączył się do gniewu tego starego, tarzającego się w złocie potwora. Zamierzał poprowadzić go na wojnę z koloniami układu zewnętrznego. Lecz kod "Harmonii" był czymś jeszcze innym. Był to ten jeden krok, jakiego nie zdołał uczynić, aby uzyskać całkowitą władzę. Jego brak stanowił przez lata cierń w łapie lwa. Sieć została zaszczerpiona przeciwko "Harmonii". Gdziekolwiek uruchomiono kod, natychmiast postępowała kostna przemiana Mamery. W tej chwili Ames był Napoleonem albo Cezarem. Mając działający kod "Harmonii" stałby się...

Jestem tym, czym pianista dla fortepianu, panie C. Ty jesteś centralnym klawiszem, który właśnie uderzam. Jesteś pierwszym dźwiękiem w wielkiej symfonii, którą zagram z pomocą Sieci. Jesteś częścią nowej i potężnej pieśni. Powinieneś czuć się szczęśliwy.

- Ależ czuję się - odrzekł C. Było to kolejnym kłamstwem, ale zarazem, w pewnym sensie, szczerą prawdą.

C wyprawił się na Ziemię na żądanie człowieka, który stał się jego szefem po wygrzebaniu go z małej komórki wywiadu Sieci, którą C sam założył i jednoosobowo prowadził: wydziału kryptohorologii. Minęły lata, od kiedy pracował w terenie. Przez ostatnią dekadę uprawiał swoje mało widoczne poletko horologicznego szyfrowania - bezpieczny, jak sądził, od groźby bycia zauważonym przez górę. Lecz Ames znalazł go i wykonywanie rozkazów Amesa stanowiło obecnie część jego pracy. Zanim Ames przejął władzę, zadaniem C było przeciwstawianie mu się. Teraz jednak Ames szefował i C znalazł się z powrotem na Ziemi, jako narzędzie dążenia Amesa do władzy.

Powinieneś czuć się szczęśliwy, pomyślał. Szczęśliwy, że żyję. Prośenie o wolność byłoby w tych okolicznościach przesadą. Dalej. Pokaż mi, co widzisz.

Nadajnik Amesa dostroił się do ośrodków wzrokowych C i teraz, jeśli chciał, mógł patrzeć na świat oczami Amesa.

Idź dalej. Dalej. Tutaj. Tak, TUTAJ!

C chwycił się za głowę i upadł, ślizgając się łokciami i kolanami na kości.

Ty to zrobiłeś.

Plac zabaw. Dzieci wybiegające na zewnątrz, teraz znieruchomiałe. Ich twarze zdumione, przerażone, wyrażające chęć natychmiastowej ucieczki w obliczu czegoś naprawdę strasznego. Strasznego i potwornie białego. Ale nie mogły

uciec. Pałace słońce na ich białych, zamrożonych twarzach.  
Gołębie łąjno na ich ramionach i głowach.  
Ty to zrobiłeś. Teraz to cofnij! I powiedz mi w dobrej wierze, że  
nie zasługujesz na bycie niewolnikiem.  
One mnie nie widzą, powtarzał sobie C raz po raz. A nawet  
gdyby widziały, nie wiedziałyby, co zrobiłem.  
Poczuł nagły dreszcz na plecach i burzowy front ziarna  
sprzątającego przesunął się obok niego. Program poznał, że C  
jest żywy i rozdzielił się, omijając go, jakby był wielką górą  
blokującą przejście.  
Ziarno wzięło się jednak za czyszczenie dzieci. Małe deszczowe  
chmurki zawisły nad ich nieruchomymi postaciami. Gołębie  
łąjno zostało usunięte, a zagłębienia, tam gdzie były oczy i usta,  
przetarte. Ziarno oczyściło kościane dzieci.  
Potem, równie nagle jak się pojawiło, ruszyło dalej,  
zostawiając za sobą gromadkę lśniących, nieruchomych dzieci,  
wilgotnych, lecz już schnących. Wydawały się spoglądać na C ze  
łzami w oczach. Ale to było tylko złudzenie wywołane  
działaniem programu czyszczącego.  
Nie widzą mnie, pomyślał C. Nie widzą mnie i nie płaczą. Nie są  
w stanie płakać. Dzieci nie widzą mnie, ponieważ zostały  
zamienione w kość.

### Cne urca lir

Stan psychiczny Mamery nieustannie się pogarszał. Przestała  
chodzić do pracy. Clare i Cureoak karmili ją i próbowali nad  
nią czuwać. Ale im więcej dla niej robili, tym bardziej była  
przekonana, że próbują ją zranić i zmanipulować. Oczywiście,  
Mamery i Clare nie mogli już być kochankami. I po jakimś  
czasie Clare odkrył, że nie kocha już osoby, którą stała się  
Mamery. Lecz w miarę jak jego uczucie słabło, Mamery  
nabierała obsesji na punkcie Clare'a. Jeśli już nie mogła go  
mieć, postanowiła dopilnować, żeby nikt inny nigdy go nie  
miał.

Nie wpuszczał jej do pokoju i Mamery nabrała zwyczaju  
wspinania się po schodach przeciwpożarowych i wślizgiwania  
przez okno w nocy. Godzinami stała nad jego śpiącą postacią.  
Któregoś razu obudził się i zobaczył ją stojącą nad nim z  
nożyczkami nad jego sercem.

Potem, trzynastego sierpnia 2744 roku, Clare obudził się na  
krótce przed świtem i ujrzał ciemną postać stojącą przy łóżku z  
zakrwawionym nożem w ręce. Najpierw pomyślał, że to  
Mamery i że to już koniec. Nie chciał umierać, ale nie był w



stanie nic zrobić.

Ale to nie była Mamery; stał nad nim Jack Cureoak.

- Cóż, zabiłem ją - rzekł. - Przez dwa dni próbowałem zdobyć pistolet, ale nikt nie chciał mi go sprzedać. - Usiadł w nogach łóżka, gdzie oświetlił go blask księżyca wlewający się przez okno. Położył zakrwawioną dłoń na głowie. - Nie, nie, nie. Nikt nie chciał mi sprzedać pistoletu, więc musiałem zrobić to nożem.

- Gdzie? - Było to pierwsze pytanie, jakie przyszło Clare'owi do głowy.

- W parku. Nad rzeką. Potem wrzuciłem ją do wody. Pomóż mi, Clare, próbowałem obciążyć ją kamieniami, ale nic z tego nie wyszło. Nic nie wyszło i ona wypłynęła na powierzchnię. - Cureoak z trudem chwycił oddech, ale wydawało się, że nie jest w stanie płakać. - Patrzyłem, jak odpływa. Nigdy nie zabiłem w całym moim życiu. Nikogo. Patrzyłem, jak odpływa martwa, niesiona nurtem tej rzeki.

Pierwszą reakcją Clare'a było poczucie niewypowiedzianej ulgi. Przez ostatnie tygodnie nabrał przekonania, że Mamery zamierza go zabić. Czekał tylko, by przekonać się, w jaki sposób się to stanie. Wszystko dotąd było mętne i ciemne, ale teraz nagle stało się jasne. Od razu wiedział, co musi zrobić. Nie było wątpliwości, że Cureoak pójdzie do więzienia. Clare wiedział, że Jack Cureoak umrze w więzieniu, niczym ćma bijąca o szybę w pogoni za światłem dnia. Było jasne, że pierwszą rzeczą, jaką musi uczynić, jest zatroszczenie się o przyjaciela.

- Daj mi nóż - poprosił Cureoaka.

Gdy tylko poczuł dotyk rękojeści noża, w jego umyśle zagościła przeraźliwa jasność, jak nocna wizja wywołana bezsennością.

- Nigdy więcej nie mogę zabić. Wyczerpałem całą swoją zdolność zabijania. Nie wiem, czy sam będę mógł żyć. Jakże mam żyć dalej? - Cureoak załkał. Po chwili opanował się, pomasażował sobie twarz i brzuch. Potarł dłońmi o siebie i popatrzył na nie. - Chyba coś sobie złamałem - dodał.

- W dłoni? - zapytał Clare. Ale wiedział, że Cureoak mówi o czym innym.

- Nie. Coś, co nigdy się nie zrośnie.

- Uratowałeś mi życie. - Clare wyprostował się w łóżku. - Pomogę ci, Jack.

- Nie sądzę, by to było możliwe.

- Spróbuję.

**- Kula. Potrzebuję kuli. - Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział tej nocy. Nie mógł już opanować płaczu. Clare przyrzęczał dla nich obu kawę i zaczął planować, co zrobią rankiem, kiedy zostanie odnalezione ciało. Pomoże Cureoakowi. To najpierw. A potem, któregoś dnia, zemści się na mężczyźnie imieniem Ames. Skrzywdzi Amesa tak bardzo, jak on skrzywdził Mamery. Podepcze jego duszę z takim samym okrucieństwem, z jakim on zbrukał czystą i łagodną duszę Jacka Cureoaka. Zemści się. Nawet jeśli to miało zająć tysiąc lat. Nawet gdyby musiał w tym celu pokonać czas. Wtedy będzie mógł spać.**

### **Ruina clerc**

**C był samotnym pasażerem w wagonie kolejki linii R, kiedy nadeszła wreszcie wiadomość od pana Percepieda. Wszedł na powierzchnię niedaleko wieżowca Flatiron na rogu Dwudziestej Trzeciej. Wszystkie okna w drapaczu chmur były zwapniałe, poza jednym na samej górze, które w jakiś sposób uniknęło działania programu kosztnej przemiany.**

**Zaczął padać. C udał się do jedynej zrobotyzowanej jadalni, jaka wciąż działała w tej opuszczonej okolicy, postępując zgodnie z instrukcjami uzyskanymi od Hecate Minim.**

**Przyszedł pierwszy i znalazł stolik w kącie z tyłu. Znad kuchni unosił się ozonowo-brzoskwiniowy zapach wadliwie działającego ziarna, więc dał sobie spokój z jedzeniem.**

**Zadowolił się kolejną filiżanką kawy, tym razem bez mleka. Miała odległy posmak befsztyka.**

**Deszcz przybrał na sile i Hecate Minim weszła do środka trzymając nad głową swoją i pana Percepieda papierową torbę. Kiedy ją odłożyła, C nie miał wątpliwości, kogo ma przed sobą. Percepied był Jackiem Cureoakiem.**

**Starszym, pomarszczonym, wspartym na lasce. Nie było ziarna, które potrafiłoby odmłodzić faceta mającego na karku trzy setki.**

**Czy mnie rozpozna po wszystkich tych latach? zastanawiał się C. To raczej niemożliwe, skoro nawet on sam z trudem rozpoznaje siebie.**

**Hecate Minim usiadła przy stoliku naprzeciw C i Cureoak, cały ociekający wodą, zajął miejsce na skrzypiącym krześle obok niej.**

**- Cześć, Clare - przywitał się. - Myślałem, że nie żyjesz.**

**- Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiedział C. - Ale mam dla pana pewną propozycję.**

- Tak, tak, tak. To już nie ma znaczenia. Poleciałem na Plutona i z powrotem i opisałem to wszystko w moich książkach. Już nie boję się wielkiego domu tak jak wtedy. Na miłość boską, Clare, byłem aż na Charonie! W ogóle się nie staraj, w ogóle się nie staraj.

- Nie może pan być Cureoakiem. Cureoak zapił się na śmierć w roku 2767. Wnikliwie badałem te sprawy.

- Tak, tak. - Stary mężczyzna pokiwał głową. - A ty nie możesz być Clare'em Runikiem. To byłoby niedorzeczne. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech niczym szczelina na niebie. - Tak, cóż. W pewnym sensie jestem dziełem rządu. Duplikat pierwszej generacji. Pierwsza generacja duplikatów. Który z nas napisał które książki, jak sądzisz? Jakież to może mieć znaczenie?

- Cureoak zapił się na śmierć.

- Ja jestem tym Cureoakiem, który nie zapił się na śmierć, który napisał inne książki po "Samotnym wędrowcu", a potem ukrył się. Napisałem to, co miałem napisać, a potem zająłem się czym innym. - Spojrzał czule na Hecate. - Zawsze chciałem mieć rodzinę i nie mogłem ze względu na moją sztukę. Wtedy pojawiła się Hecate. Czy pamiętasz Daphne Minim, dziewczynę, z którą spotykałem się, kiedy byliśmy na pierwszym roku? Kto by pomyślał, że to mi da zadowolenie na starość? Nigdy nie wiesz tego, co wydaje ci się oczywiste, Clare. Nigdy.

- Nie mam zamiaru pana szantażować - powiedział spokojnie C, chociaż oczywiście dokładnie taki, w pewnym sensie, był jego zamiar. Musiał stworzyć pozory szantażu, tak by Cureoak w żadnym wypadku nie dał mu kodu Cassady-13 tego dnia. Nie mógł jednak zniechęcić go na tyle, by nie dał mu go nazajutrz. Planowanie było podstawą całej operacji.

- Zupełnie nie wiem, czym jest to Cassady-13, którego żądasz. C niemal mu uwierzył. Lecz Cureoak zawsze był tak cholernie dobry w wymyślaniu historii. W kłamaniu. Obaj mieliśmy talent w tej materii, pomyślał C. Może to dlatego się zaprzyjaźniliśmy.

- W porządku. Oto, co mam. - C wyciągnął kopertę z kieszeni płaszcza i położył ją na stole.

Cureoak przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, a potem sięgnął i wziął kopertę. Oddarł jeden koniec i rozchylił kopertę dmuchnięciem. Postukał nią o stół i ze środka wypadł wiersz. Rozprostował złożoną kartkę i spojrzał na słowa. Stare, stare słowa.

## **CLARE**

**Nigdy nie słyszeli o nim  
w biurze  
choć jest dobrze znany  
w swojej dziedzinie i  
jak sędzę, kimś w rodzaju geniusza**

**Czai się w ciasnych przestrzeniach  
Miesza ciemną zupę za pomocą młotka  
Nie powierzaj mu prawd  
których ujawnienia byś nie chciał**

**O świcie jest rosa  
pajęczyna**

**- To tylko wiersz, który kiedyś napisałem - rzekł. - Dla starego przyjaciela, by zabrał go ze sobą do smutnego miejsca, w które musiał się udać.**

**Upuścił kartkę na stół. Hecate złapała ją szybko, by nie upadła na ślad, jaki zostawiła na blacie filiżanka C. Lecz C, obserwując wyraz zdumienia na jej twarzy, przechylił swoją filiżankę i wylał trochę kawy prosto na wiersz, aż na papierze utworzyła się mała kałuża.**

**- Co pan robi? Odbitki pamięci...**

**- Nigdy nie było żadnych odzyskanych wspomnień. Ten papier jest na to o wiele za stary. A poza tym... - C poruszył kartką tak, że kawa rozlała się po całej jej powierzchni. - Domyślałem się, że ta cholerna kawa ma kwaśny odczyn. Patrzcie, jak szybko działa.**

**Na powierzchni kartki zaczęły stopniowo pojawiać się słowa. Pisane dużymi drukowanymi literami.**

**- Czytajcie pomiędzy wierszami - zachęcił C.**

**JA, JACK CUREOAK, ZABIŁEM MAMERY ST. CLOUD. JEST MI JEJ ŻAL, ALE NIE ŻAŁUJĘ, ŻE TO ZROBIŁEM.  
ZAMIERZAŁA ZABIĆ MOJEGO PRZYJACIELA, CLARE'A RUNICA, I NIKT NIE POTRAFIŁ JEJ OD TEGO ODWIEŚĆ.  
CLARE NIE BYŁ W STANIE JEJ ZABIĆ, JAKO ŻE BYŁA KIEDYŚ JEGO KOCHANKĄ. PISZĘ TE SŁOWA DLA CLARE'A RUNICA, NA WYPADEK GDYBY CHCIELI GO POWIESIĆ, CO, JAK SŁYSZĘ, ZDARZA SIĘ JESZCZE CZASEM NA GANIMEDZIE. CLARE IDZIE ZA MNIE DO WIĘZIENIA. JEST DLA MNIE JAK BRAT.**

## **JACK CUREOAK, 30 PAŹDZIERNIKA 2744**

- Atrament sympatyczny. - Hecate Minim patrzyła ze zdziwieniem. - Jakież to staroświeckie.
- Jeśli naprawdę jesteś Clare'em, to wiesz, dlaczego nie mogę dać ci tego kodu. - Cureoak ponownie spojrzał na kartkę. - Poza tym, czy po trzystu latach nie działa przepis o przedawnieniu?
- To nie trzystuletni Cureoak zostanie ukarany.
- Jak to? O czym ty mówisz?
- Było jeszcze jedno ładowanie. W roku 2765.
- Och! - Cureoak westchnął. - O mój Boże. Nie wiedziałem o tym. Po co miałbym to robić?
- Był pijany. Po co robił te wszystkie rzeczy po pijanemu?
- Nie mam pojęcia. Przestałem pić, żeby móc pisać.
- Nikt nie wie, dlaczego sporządził duplikat.
- O czym on mówi, tato? - zapytała Hecate.
- W starej bazie danych znajdowało się archiwum - rzekł C. - Znalazłem je. Znalazłem wszystko. A kiedy Ames przejął w zeszłym roku władzę nad rządem Sieci, znalazł mnie.
- Kim ty jesteś? - Hecate Minim wyraźnie nic nie rozumiała. - Dlaczego musiałeś się tu zjawić?
- Twój ojciec i ja chodziliśmy razem do szkoły - wyjaśnił C. - Jeden z nas został pisarzem. Drugi został szpiegiem. W szkole obaj znaleźliśmy dziewczynę imieniem Mamery St. Cloud, która studiowała nanotechnologię.
- Co takiego?
- Wczesną wersję ziarna. Miała wypadek z tym prymitywnym ziarnem. W efekcie postradala zmysły. Ale w bardzo bystry sposób. Skoro nie mogła mieć Clare'a, to postanowiła go zabić. Sama mu to powiedziała, ale nikt mu nie wierzył, kiedy próbował załatwić dla niej pomoc. Nikt poza Jackiem Cureoakiem.
- Interesująca wersja prawdy - wtrącił się Cureoak. - Co niczego nie zmienia. Nic z tego niczego nie zmienia. Wciąż nie mogę dać ci klucza. Może nawet o nim zapomniałem.
- Nie mogłeś o nim zapomnieć. Sam ułożyłeś hasło przypominające.
- Zapomniałem wiele z tego, co napisałem - Cureoak skrzywił się. - To ryzyko zawodowe po trzystu latach.
- Nie rozumiesz, Jack. Ten nowy władca, on nie jest... łagodny.
- Ten sukinsyn Ames?
- Tak, on. Będzie cię torturował. W banku danych na Merkurym znajduje się twoja kopia. Masz być zapętłony za

karę za swoje zbrodnie. Czy rozumiesz, co to oznacza, zostać zapętlonym? Czy pamiętasz, że twoja pierwsza jaźń, ta, która wydała ciebie, zapłała się na śmierć? Przez siedem lat piłeś i piłeś, aż pękło ci jelito i wykrwawiłeś się na śmierć przez własny tyłek. - C pochylił się i dotknął starej, papierowej dłoni Cureoaka. - Ames wrzuci cię do przyspieszonego wirtualu i da ci whisky, i sprawi, że będziesz umierał raz za razem. Tak jak wtedy, krwawiąc z pękniętego jelita i złamanego serca.

**Cranic urlle**

Metro było od dawna zautomatyzowane i teraz mało kto nim jeździł. Pociągi poruszały się zgodnie z podświadomymi kapryсами mrocznych inteligencji kontrolujących system sterujący. Ale być może zawsze tak było. Kiedy C wyłonił się nazajutrz z podziemnego świata, znalazł się na placu Waszyngtona. Był świt i trawa w parku lśniła od rosy. Usiadł na ławce i przypominał sobie, ile mógł.

Tyle rozproszenia. Rozciągnięty przez setki ciał, tysiące inkarnacji. Wirtual, ciało i krew, ziarno. Czym, u diabła, był? Jak się nazywał? Nie mogło to mieć znaczenia, gdyż w przeciwnym razie by pamiętał. Czy nie?

Kawałek żyłki wylaniający się z gardła i wpełzający do następnego, gdzie zostanie połknięty.

Byłem kiedyś człowiekiem. Moje prawdziwe imię brzmi Clare Runic.

**Prawdziwe.**

**Imię.**

Do diabła, byłem też kiedyś kobietą. Wieloma mężczyznami. Wieloma kobietami. Wieloma innymi rzeczami złożonymi z informacji i ziarna. Rzeczami o nieokreślonej płci i sierpach zamiast mózgu. Małe przestrzenie. Szpiedzy muszą poruszać się swobodnie. Nie ma miejsca na przeszłość. Szpiedzy nie mają prawdziwych imion.

Prawda jest taka, pomyślał C, że wcale nie wiem, czy naprawdę byłem kiedyś Clare'em Runikiem, czy też tylko potrzebuję tak myśleć, żeby wypełnić zadanie. Dzieje się coś, czego nie jestem do końca świadom.

Z drugiej strony placu, w bladym świetle poranka, zbliżał się ku niemu mężczyzna. Miał na sobie płaszcz bardzo podobny do jego własnego. Lecz kiedy mężczyzna zbliżył się, C ujrzał, że w rzeczywistości jest to tylko podpinka płaszczu takiego jak jego własny. A potem mężczyzna usiadł obok niego na ławce.

Tym mężczyzną był C. Spotkał siebie samego.

- Przyszedłeś po płaszcz? - zapytał sam siebie.

**Drugi C uśmiechnął się i potrząsnął głową.**

**- Ames skontaktował się z tobą - powiedział. -**

**Podśluchiwałem.**

**- Myślałem, że nie można podśluchiwać wiadomości przesyłanych kwantowo.**

**- Naprawdę tak sądziłeś?**

**- Nie - odparł C. - Chyba nie.**

**- Do tej transmisji potrzebował bardzo wiele energii. Pewnie spowodował zaciemnienie na Merkurym. Przez cały dzień nie będzie mógł nawiązać z tobą bezpiecznego kontaktu bezpośrednio poprzez umysł. Spotkałeś Cureoaka?**

**- Tak.**

**- Dał ci informację?**

**- Nie.**

**- To dobrze. Wszystko, czego potrzebujemy, to pół ziemskiego dnia. Kod "Harmonii" będzie można uwolnić dzisiaj w południe.**

**- To dobrze, bo jeśli nie dostarczę go dzisiaj do północy - C postukał się palcem w skroń - Ames zemści się na mnie, na swój drobny sposób.**

**- To nie będzie problemem.**

**- Świetnie.**

**Wstające słońce oświetliło szczyt najbliższego budynku. Obaj C przyglądali się temu. Po chwili obaj jednocześnie westchnęli i wrócili do rozmowy.**

**- Dlaczego potrzebujesz pół dnia? - zapytał C.**

**- Żeby uciec - odparł drugi C.**

**- Czy to ważna ucieczka?**

**- Nawet jeśli kod "Harmonii" opanuje wszystkie pozostałe Sztuczne Inteligencje i Rozległe Układy Osobowości, Ames nie zdoła zająć zewnętrznego układu, gdy ta osoba ucieknie.**

**- Kto ma uciec?**

**Drugi C uśmiechnął się.**

**- Mógłbym ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym cię zastrzelić. Powiem więc tylko, że jest to Rozległy Układ Osobowości, który Ames musi kontrolować, jeśli chce władać wszystkim, co widzi.**

**- On chce władać wszystkim, co widzi. - C skrzywił się, przypominając sobie ból głosu Amesa we wnętrzu własnej czaszki. - Mogę to potwierdzić.**

**- Wiemy o tym. Nie ma wątpliwości.**

**C zerknął z ukosa na drugiego C.**

**- Czy powiesz mi, co jest w paczce?**

**- Paczka to zupełnie inna sprawa. Część większej operacji, z tego, co wiem. Ale nie mam pojęcia, co jest w środku. - Drugi C**

wyciągnął pistolet z wewnętrznej kieszeni podpinki. Czy podpinka miała wcześniej kieszenie? Nie pamiętał. Pistolet był staromodnym rewolwerem. - Kiedy zdobędziesz informacje Cassady-13 i wykorzystasz je, strzel do skrzynki.

- Mam strzelić do skrzynki?

- Zgadza się.

- I mam nie wiedzieć, co to spowoduje?

Drugi C potrząsnął głową.

- Jeden strzał wystarczy, chociaż włożyłem trzy naboje do magazynka.

- Lubimy nadmiar, prawda?

Drugi C pozwolił, by na jego twarzy pojawił się blady cień uśmiechu; zielone jak morska toń oczy wydawały się przydymione, jakby chmura przesunęła się nad oceanami w ich wnętrzu.

- Nie całkiem. - Wstał, zdjął podpinę i położył ją na ławce obok C. - Jestem gotów.

- Dlaczego o tym wszystkim nie wiedziałem? - zapytał C sam siebie.

- Ponieważ Ames dowiedziałby się, gdybyś opuścił Merkurego z tą wiedzą. Całkiem dokładnie cię przefiltrował, żeby upewnić się, że nie planujesz jednej ze swoich szpiegowskich sztuczek. Wiesz, że ich nie znosi.

- Ale jakże na nich polega. - C spojrział na pistolet. - Czy to naprawdę konieczne?

- W zupełności - odrzekł drugi C i odszedł kilka kroków.

C wycelował i pociągnął za spust. Jak zwykle trafił prosto w głowę. Drugi C upadł na ziemię w kałuży krwi i resztek mózgu. Nie stworzono jeszcze ziarna, które mogłoby poskładać go z powrotem. Jednak dla pewności C posłał swoje ziarno, by zniszczyło resztki jego poprzedniej jaźni. Wkrótce pozostałości drugiego C były tylko kopczykiem w trawie.

C zdjął płaszcz, przypiął podpinę i ponownie się ubrał.

Wcześniej dawał sobie radę bez podpinki, ale zrobiło się odrobinę zimniej.

**Cel cur rani**

Później tego ranka C zadzwonił do drzwi mieszkania Cureoaka w Chelsea. Hecate Minim wychyliła się z okna. C policzył, że znajduje się na szóstym piętrze.

- Czego chcesz?! - zawołała. - I jak nas znalazłeś?!

- Dzięki ziarnu! - odkrzyknął. - Wpuść mnie!

- Dlaczego miałabym to zrobić?!

C przez chwilę nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi.



- Przez wzgląd na stare czasy! - krzyknął wreszcie.  
Hecate Minim zniknęła z powrotem w środku. Chwilę nic się nie działo, a potem drzwi otworzyły się, jakby ręka po drugiej stronie nacisnęła na klamkę. C wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i wspiał się po schodach na szóste piętro. Mogła być winda, ale nie mógł jej znaleźć.

Cureoak siedział w fotelu przy oknie. Palił papierosa; paczka Terra Nova i staromodna plastikowa popielniczka leżały obok na małym stoliku. Dym papierosa, zanim rozwiął się w półcieniu pod sufitem, przybierał kształt smoków i wrózek. Sprawiało to specjalne ziarno dodawane do tytoniu, była to droga marka.

C usiadł w bujanym fotelu naprzeciwko. Hecate Minim przyniosła kawę. Była gorąca i ze świeżym mlekiem - najlepsza, jaką pił od czasu swojego powrotu na Ziemię. Hecate nie usiadła z nimi, lecz przy stole jadalnym nieopodal, gdzie przeglądała faktury wyświetlane przez ziarno zawarte w blacie, porównując zyski i straty. Z ust zwisał jej papieros. Strzepywała popiół na stół, a ziarno w blacie pochłaniało go, włączając do wyświetlanego obrazu.

- Muszę uwolnić dzieci - powiedział C do Cureoaka.

Cureoak zaciągnął się, wyjrzał przez okno.

- Dlaczego teraz? - zapytał. - Dlaczego nie trzysta lat temu?  
C upił łyk kawy.

- Nie istnieje inna kopia ciebie. Kłamałem. Musiałem zyskać trochę czasu. To wszystko jest dość skomplikowane. -

Zakołysał się raz w fotelu. Potem dwa razy. - Ames posiada kopię mnie. Zmorfował mnie, zanim opuściłem Merkurego.  
Cureoak po raz pierwszy spojrzał mu w oczy.

- Bardzo mi przykro, Clare.

- Jeśli nie użyję Cassady-13, zapętli moją kopię w wirtualu. - C zadrżał na samą myśl. Kawa wylała mu się z filiżanki i pociekła na nadgarstek, więc ujął ją obiema dłońmi. Przestał się kołysać.

- Co takiego zrobiłeś, że tak bardzo się boisz?

- Chodzi o coś, czego nie zrobiłem.

- Czego?

- Nie uratowałem dzieci, kiedy miasto skostniało.

- Tak, tak, tak. - Cureoak przeczesał dłonią rzadkie włosy, pomasował sobie twarz i ponownie zaciągnął się papierosem. - Ale zamroziłeś kod "Harmonii". Opóźniłeś plany tego starego sukinsyna o trzysta lat.

- Na wystarczająco długo, byśmy mieli szansę mu się przeciwstawić.

- Jesteś tego pewny?

- Nie, niczego nie jestem pewny. Ale dotarłem do informacji, które pozwalają mi tak sądzić. Były pewne próby. Ludzie mają szansę mu się teraz przeciwstawić.

- I chcesz, żebym ci zaufał? - Cureoak pochylił się do przodu. - Powiedziałeś mi, żebym nigdy nikomu nie ufał.

- Zablokowałem kostną przemianę za pomocą klucza kodu. Dołączyłem klucz do szyfru i dałem tekst szyfru jednemu człowiekowi, któremu w moim przekonaniu mogłem całkowicie ufać, którego lojalności mogłem być pewny.

- Nigdy nie zrozumieć, dlaczego dałeś go mnie, a nie temu staremu pijakowi.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to właśnie fakt, iż miałeś klucz, spowodował, że nie zapiliś się na śmierć jak on? Cureoak znowu pochylił się w fotelu. Rozmasował sobie uda i brzuch. Lubi czuć swoją fizyczną obecność w świecie, pomyślał C. Przypomina sobie o niej każdego dnia.

- Tak, tak. - Cureoak skinął głową. - Oczywiście, to prawda. To i miłość jego córki. Mojej córki.

- Tato? - Hecate Minim podniosła wzrok znad stołu. - Czy to wszystko prawda? Cała ta gadanina o Cassady-13?

- Tak.

Hecate zwróciła się do C.

- Co się z nim stanie, jeśli da ci klucz?

- Nic.

- Dyrektor Ames nie każe go zabić z zemsty?

- Nie. Dał mi słowo, że tego nie zrobi.

- Ile jest warte słowo tyrana?

- Ames uważa swoje przyrzeczenie za święte. Chce być imperatorem, nie dyktatorem. Honor jest dla niego wszystkim.

- I w związku z tym postawiłbyś na szali życie mojego ojca?

- Stawiam na szali własne życie. Moje drugie życie, na Merkurym... tam, gdzie jest zmagazynowana kopia.

- A co stanie się z wszystkimi pozostałymi? - Cureoak zaciągnął się mocno papierosem i zdusił niedopałek.

Kiedy wypuścił dym, przed twarzą uformował mu się wielki smok z gorejącymi oczami. Przez chwilę C myślał, że smok ożyje i rozszarpie ich wszystkich na kawałki. Ale kształt rozwiął się i został tylko dym.

- Nie wiem. - C wzruszył ramionami.

Przez chwilę milczeli. C przyglądał się ścianom. Niegdyś białe, teraz zbrązowiały, poddawane przez lata - być może przez stulecia - działaniu papierosowego dymu. Wszędzie na

ścianach widział delikatne pęknięcia i miał wrażenie, że cały budynek trzyma się wyłącznie dzięki farbie.

Na jednej ze ścian wisiał rząd czerwonych róż, zatkniętych łożogami do góry za odklejającą się listwę. Być może Hecate i jej ojciec mieli zwyczaj wręczać sobie kwiaty. Być może to jedno z nich przynosiło je dla drugiego. Było wiele różnych możliwości. C naliczył dwadzieścia trzy kwiaty.

- Uważam - C oderwał wzrok od róż - że Ames nosi w sobie posiew własnego zniszczenia.

- Zmieniłeś więc Nowy Jork i zabiłeś milion ludzi. Teraz jednak uważasz, że to był błąd, bo sprawy i tak przybrałyby właściwy obrót? - W głosie Hecate C wyczuł ironię.

- Większość ludzi zdołała uciec.

- Ale nie dzieci, które były tego dnia w szkole. Rodzice nie zdążyli zabrać ich na czas.

- Dzieci nie są martwe.

- Co to znaczy? Oczywiście, że są. Martwe dzieci to praktycznie jedyna religia tego miasta. I jego główny biznes. - Hecate Minim wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać. Ale nie patrzyła na C. Spoglądała na własne dłonie, jakby były brudne. Jakby była równie zła jak on.

- Dzieci są... zarchiwizowane - powiedział C łagodnie. - W ziarnie.

- Co ty mówisz? Jeśli odwrócisz kosztą przemianę, to wszystkie dzieci odżyją?

- Tak. Sądzę, że to właśnie się stanie.

- Ich rodzice w większości już pomarli albo zamienili się w coś innego.

- Będą sierotami - włączył się Cureoak. - Tysiącami sierot.

Przez chwilę w mieszkaniu zapanowała absolutna cisza.

Powietrze jakby zgęstniało.

- Pamiętasz dawny Nowy Jork? - zapytał C.

- Miasto chaosu - odparł Cureoak. - Wszystkie rzeczy przeciwko sobie, oryginalne, zamienne i obce.

- Nigdy nie myślałem, że to powiem. Ale brakuje mi tego.

Trzymając tłący się niedopałek w lewej ręce, Cureoak obserwował kształty, w jakie układał się dym.

- A hipopotamy ugotowały się w swoich basenach - powiedział niskim, wyraźnym głosem. Jego nonsensowne słowa rozproszyły dym. Zamrugnął raptownie powiekami. - Tak, tak - mruknął. - Tak. To nadal tam jest, naprawdę. Do diabła, to skomplikowane i szalone! Nigdy nie zapamiętałbym tego bez ziarna.

Wstał z fotela przy oknie i podszedł dotknąć ramienia C.  
Membrana dotknęła membrany. Ziarno spotkało się z ziarnem.  
Pochylił się i pocałował starego przyjaciela w policzek.  
- Uwolnij dzieci - wyszeptał mu do ucha.  
W umyśle C rozkwitł klucz kodu Cassady-13.

### **Cena rur lic**

Udali się na Uniwersytet Columbia, gdzie wszystko się zaczęło,  
by zacząć odmieniać miasto z kości. Bramy z kości słoniowej  
błyszczały jak zakrwawione zęby w popołudniowym słońcu.  
Teren uczelni był opustoszały. Nikt nie mieszkał tak daleko na  
północ na Manhattanie, chociaż metro nadal tu docierało,  
reagując na swe sekretne podziemne upodobania.

C postawił na ziemi pakunek owinięty brązowym papierem. Za  
pomocą klucza zaprogramował ziarno na swoich dłoniach.  
Spowodowanie zmiany będzie trwało zaledwie chwilę.

- Pamiętasz nasze długie dysputy z Mamery na temat tego, jak  
będzie wyglądał świat, kiedy ziarno znajdzie się już wszędzie? -  
spytał C, podnosząc zakodowane dłonie do góry. - Teraz ziarno  
jest wszystkim, czym jesteśmy.

Cureoak oparł się o bramę i potrząsnął kolejnym papierosem,  
aż ten zapalił się.

- Jesteśmy ciemni, słodcy i połyskliwi - wyrecytował. -  
Jesteśmy kawą przygotowaną z deszczówki. - Były to pierwsze  
wersy poematu z "Samotnego wędrowca".

Błogosławieństwo, pomyślał C.

Przyklęknął i dotknął dłońmi Broadwayu.

- Do widzenia, Mamery - wyszeptał.

W jednej chwili kostna przemiana zaczęła się cofać.

W jednej chwili kod "Harmonii" rozbiegł się, zaroił,  
poszukując dla siebie władzy.

Ale władzy nad czym? Na Ziemi nie było już nikogo, kim warto  
byłoby władać.

Podłączył się do Sieci, w ułamku sekundy oceniając całe trzysta  
lat. I niczym wielka odwrotna trąba powietrzna przewirował  
przez ziarno powierzchni Ziemi do gigantycznego kabla  
kończącego się na Biegunie Północnym i ruszył w przestrzeń, w  
głąb Sieci. Z powrotem przez kosmos, jako straż przednią  
niosąc swoją nowo zdobytą wolność, zdolność odwracania  
kostnej przemiany. Z powrotem do swego stwórcy i absolutnie  
bezpiecznej fortecy, w jaką Ames zamienił Merkurego. W ciągu  
kilku minut Ames miał to, czego potrzebował, by zdobyć  
władzę nad swoim światem.

Daleko, daleko stamtąd, w pasie asteroidów, obcy człowiek podróżował przypominającym obłok statkiem kosmicznym na jeden z księżyców Neptuna, z dala od uścisku Amesa. Ten człowiek miał być przyczyną zguby Amesa. Taki był plan. Albo jego część. Odbędzie się krwawa wojna. I inne zmiany, bardziej skomplikowane, bardziej subtelne.

Jedna z kilku istniejących kopii C - najstarsza z nich - rozumiała to wszystko i wiedziała, co oznacza. Czy był to skomplikowany spisek mający na celu uratowanie ludzkości? Czy też w gruncie rzeczy ona zrobiła to ze względu na dzieci? Stała tuż obok C, kiedy cofał kostną przemianę miasta. Stała tuż obok C i człowieka, który sądził, że była jego córką, i chociaż wiedziała, że wszystko zostało wprowadzone w ruch, nie rozumiała poruszeń własnego serca. Pragnęła kary czy odkupienia?

Wszystko, co wiem, to, że ci mężczyźni są moimi braćmi, wciąż i na zawsze, myślała Hecate Minim. To jest jedyna rzecz, która przetrwała wszystkie transformacje, wszystkie ciemne uczynki i wszystkie zmiany - wszystkie sposoby, na jakie czas potrafi zaczarować człowieka. Jestem strażniczką mojego brata. To właśnie jest do zrobienia, kiedy jest się żywym.

### Lunar circe

W starym Nowym Jorku słońce zaszło i dzieci otworzyły oczy na zmierzch. Mogły pójść do szkoły tego samego dnia. Ale nie stało się tak. Nastąpiło to o wiele później.

### Inerc clura

Podczas gdy miasto wracało do pierwotnego stanu, ich troje zeszło razem Sto Szesnąstą nad rzekę Hudson, do parku, gdzie Cureoak zakłął Mamery na śmierć trzysta lat wcześniej. Od tego czasu miejsce zarosło chwastami.

- Wciąż pamiętam - powiedział Cureoak. - Ale obraz się zaciera. Zaciera się.

- Sama chciałaby umrzeć, gdyby wiedziała, w co się zamieniła. - C westchnął. - Zawsze w to wierzyłem.

- Chciałbym wiedzieć to na pewno.

- A ja żałuję, że nie potrafiłem zmusić się do zrobienia tego własnoręcznie. Od tamtego czasu robiłem to tyle razy. Kiedy tylko czułem, że to konieczne.

- Tak, tak. - Cureoak wsparł się na lasce. - Ale to jednak nie to samo. Mamery była kobietą, którą kochałeś. Nie mogłem patrzeć na to, jak umierasz razem z nią. To był jedyny sposób, byście oboje nie umarli.

- Wszystko byłoby inaczej, gdybym to ja ją zabił, a nie ty.
  - Naprawdę tak uważasz? Że ja zamieniłbym się w szpiega, a ty zostałabyś poetą?
  - Że drugi ty mógłby nie umrzeć z przepicia. I podobałoby mi się bycie poetą.
  - Ja żyję. A ty jeszcze możesz zostać poetą.
- C uśmiechnął się, potrząsając głową.
- Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, a potem muszę odejść.
  - Tak, tak, tak. - Cureoak roześmiał się. A potem nagle zamilkł. Przetarł oczy. Zaczęły w nich wzbierać łzy.
  - Och! Rozumiem...
  - Nie martw się. Tam, skąd przybyłem, jest tego jeszcze dużo.

**Cnil uracer**

Poprosił Cureoaka, by zostawił go samego i pojechał do domu. W końcu zawarli kompromis - Hecate Minim została, a Cureoak miał czekać na nią przy bramie uniwersytetu.

Obaj mężczyźni rozstali się bez słowa. Cureoak stał, patrząc na C przez długi czas. Wreszcie dotknął jego ramienia. Wszystko, co miał do powiedzenia, było zawarte w ziarnie. Po chwili ruszył pod górę ulicą, z dala od rzeki, w głąb miasta.

C usiadł, opierając się o pień drzewa styrakowego. Ziemia dookoła była zasypana czerwonymi spiczasto zakończonymi liśćmi. Brązowy pakunek leżał przy jego nogach, spoczywając na kolczastych kulkach owoców o dziwnych nieziemskich-ziemskich kształtach. Hecate Minim stała kilka kroków dalej. Wieczne powietrze było nieruchome i chłodne jak galaretka. C sięgnął do kieszeni płaszcza po papierosa, ale nie nosił przy sobie papierosów już od bardzo, bardzo dawna. Hecate spostrzegła, co robi, i dała mu jednego ze swoich. Zapalił go jednym krótkim potrząśnięciem.

- Kiedyś paliłem - wyjaśnił. - Ale nigdy nie palę przy pracy. Niedopałki to typowe dowody rzeczowe.

Zaciągnął się mocno. Wypuścił powietrze i otoczyła go mgła.

- A więc - zwrócił się do Hecate - czy powiesz mi, co jest w pudełku?

Przez chwilę była zaskoczona. Potem uśmiechnęła się, a jej zielone oczy zabłyśły. Usiadła obok niego i zapaliła.

- A jeśli przepływ czasu nie jest liniowy? Jeśli w ogóle nie przypomina linii?

- No właśnie, co wtedy? - zapytał C. Papieros mu smakował. Minęło wiele czasu, a kiedyś tak lubił palić.

- Czas jest jak nazwa - powiedziała Hecate Minim.

- Jak nazwa?

- Nie można zmienić liter, ale można je poprzestawiać, żeby stworzyć inną nazwę. Jak w anagramie.

C spojrzął na swoje dłonie. Drżały lekko, ale papieros działał i C czuł się spokojny. Bardzo spokojny.

- Czy mówisz o pudełku?

- No właśnie?

- W porządku. Dla dobra dyskusji. Niektóre z nowych nazw mogą być bardziej sensowne od innych. Niektóre mogą zranić mniej ludzi dzięki sposobowi, w jaki się je pisze.

Hecate skinęła głową.

- A jeśli odkryjemy - ty i ja - w jaki sposób poprzestawiać ten anagram? Jeśli choćby odrobinę zmienimy historię? Tylko na tyle, by troje ludzi miało szansę wygrania nadchodzącej wojny?

- Skończyła papierosa i odwróciła się w stronę rzeki. - Masz wszczepiony nadajnik kwantowy, z bezpośrednim połączeniem do Amesa. Nie mogę powiedzieć ci więcej.

- Rozumiem. Ale wkrótce nie będzie miało to znaczenia.

- Nie zapomnę cię. Zawieram wszystkie anagramy; jestem jedyną, która nigdy nie zapomina.

Ja zapomnę, pomyślał C.

Czy to właśnie o to chodzi?

Przez chwilę C miał dziwne wrażenie, że wszystko to zdarzyło się już kiedyś. I nie tylko jemu. Nie tylko w tych okolicznościach. Że istnieje kluczowa informacja, że trzeba zapominać, i że, w miejsce rozwoju i powiększania ludzkiej wiedzy, zapominanie jest właściwym celem życia. Że zapominanie jest tym, co wszyscy robimy, i nie wiemy tego, ponieważ nie możemy wiedzieć, jeśli zapominanie ma działać. Poza tym, że być może na końcu wszystko stanie się jasne. Czy to jest ten moment? Ta chwila pomiędzy młotem i kowadłem, pomiędzy linijkami wiersza, kiedy ukryte pismo wyłania się na powierzchnię i prawdziwa sekretna misja zostaje ujawniona?

- Wszystko w porządku? - zapytała Hecate Minim. -

Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nic mi nie jest. Nie istnieje coś takiego jak duchy. Proszę, daj mi jeszcze jednego papierosa.

Wytrząsnęła jednego z paczki i podała mu. Wzięła następnego dla siebie.

C wypalił papierosa do połowy, zanim odezwał się ponownie:

- Opiekuj się swoim ojcem. Idą ciężkie czasy.

- Zrobię to.

- Był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Wiem.

- Co ty i on zrobicie z tymi wszystkimi sierotami?

**Hecate westchnęła.**

**- Zatrzymamy je, jak sądzę.**

**C przyjrzał się jej uważnie. Czyżby widział łyzy? Nie, to niemożliwe. Minęły stulecia, od kiedy kobieta popłakała się przy nim. Pewnie to dym dostał się do jej oczu.**

**I cóż to za dziwna idea dotycząca sensu życia, pomyślał.**

**Zapominanie? To nie może być to. To szaleństwo, myśleć w ten sposób. Lepiej zająć się robotą i zapomnieć o tym. Zapomnieć o tym wszystkim i zająć się tym, co ma do zrobienia.**

**A jeśli to właśnie jest w pudełku? To coś, o czym my wszyscy nieustannie zapominamy?**

**Nie muszę tego wiedzieć, żeby móc wykonać plan, pomyślał C.**

**W końcu tylko o to chodzi.**

**On i Hecate siedzieli razem pod drzewem i palili, a potem zgnetli niedopałki o korzeń drzewa styraxowego. Hecate wstała i odsunęła się. C został na ziemi.**

**Spojrzał na nią i zamrugął.**

**- Oto patrzę na ciebie - powiedział. - Kimkolwiek jesteś.**

**Wyciągnął rewolwer i strzelił w pudełko. Potem włożył sobie lufę w usta, choć nie zacisnął na niej warg, bo żelazo było wciąż gorące. Nie namyślając się wiele, pociągnął za spust.**

**Jak zwykle trafił w to, w co celował.**

**Przełożył Marcin Wawrzyńczak**